

GUZIK

Napisał: Jacek Sawaszkiewicz

Ilustrował: Władysław P. Jabłoński



Do wyznaczonej godziny pozostał kwadrans.

Przez bulaj wpadało niewiele dziennego światła, ale dyspozytornia, serce tej maleńkiej bazy na Marsie, była oświetlona w dostatecznym stopniu, zresztą generał Henk de Boer przywykł do półmroku. Przywykł także do ciszy i tutaj nic jej nie zakłócało. Półmrok i cisza, polubił je wręcz, zżył się i zaprzyjaźnił z tymi cechami tak charakterystycznymi dla gabinetów, w których zeszło mu dokładnie dwadzieścia lat życia. Dokładnie dwadzieścia...

Dwadzieścia lat służył swojemu narodowi i po dwudziestu latach kazano mu złożyć rezygnację. To była krecia robota Koopmansa i jego kliki parlamentarnej, tych cholernych bubków, wymuskanych i układnych, wyciągających ręce po ministerialne stolki. Koopmans był jeszcze młody, ale wiedział, że otaczają go ludzie niedużo młodszy i równie ambitni, i że lada dzień któryś z nich może go przerosnąć. Wiedział o tym, więc się spieszył. Spiskował, ryl i czyhał.

Generał Henk de Boer spojrzął na zegarek. Jeszcze dwanaście minut. Obszedł ciasne po-

mieszczenie dyspozytorni i zatrzymał się przed pulpitem. W jego centrum wyzywająco srebrzył się niklowany guzik. Guzik, który miał być naciśnięty za dwanaście minut i tylko raz. Guzik do jednorazowego użytku.

Tak go nazwał porucznik Cliff, kierownik zespołu elektroników montujących układ sterowania: „Guzik do jednorazowego użytku”. Wtedy już było jasne, że Koopmans, dowódca związku operacyjnego w sile armii powietrzno-desantowej, ostatecznie obejmie bulawę marszałkowską. Stało się to jasne bez mała rok wcześniej, podczas uroczystości państwowych, kiedy niezależnie od przemówienia Henka de Boera telewizja nadała przemówienie Koopmansa, jakby ten biedny idiota mógł mieć prawo do własnych, odmiennych poglądów i być partnerem do ich wymiany. To, że wystąpił publicznie, najdobitniej świadczyło o jego niebywalej pewności siebie i tupecie, sam fakt, że w tamtym dniu pokazał się na ekranach telewizorów, wypadło uznać za próbę podkopania autorytetu naczelnego dowództwa. Ale Koopmans posunął się jeszcze dalej: niedwuznacznie wyraził zastrzeżenia wobec programu politycznego Henka de Boera.

Generał czubkiem kościstego palca musnął

srebrzysty guzik i zaraz cofnął dłoń. Pozostało już tylko dziewięć minut. Tylko dziewięć. Komputer obliczył wszystko precyzyjnie: właśnie dzisiaj i właśnie o szóstej osiemnastej czasu środkowoeuropejskiego, tak, żeby prezent dla Koopmansa i jego popleczników dotarł na Ziemię w dniu i o godzinie, kiedy temu oportunistycznemu karierowiczowi, temu biednemu idiocie oficjalnie wręczać będą nominację.

„Nie ja o tym decyduję, ale skoro mnie o to pytacie, to odpowiem, że moim zdaniem, ograniczenie wydatków na zbrojenia do pięciu procent budżetu nie stanowiłoby istotnego zagrożenia dla naszego potencjału militarne- go” – tak wyrębał z ekranu Koopmans. Przecież to jawny zamach na rację stanu!

Henk de Boer chusteczką wytarł z potu dłonie i podszedł do bulaja.

Siedem minut.

Koopmans wyraził beczelne, prowokacyjne zastrzeżenia wobec jego programu politycznego, a potem, kiedy w otoczeniu dowódców innych związków operacyjnych stali na trybunie i odbierali defiladę, zachowywał się jak rozegzaltowana pannica: machał ręką do tłumów i szerzył zęby do kamer. Piekielnie chciał się przypodobać motlochowi. No, i motloch witał go entuzjastycznie. To dawało do myślenia. Tamtego dnia generał Henk de Boer zrozumiał, że wkrótce będzie musiał ustąpić.

Nazajutrz wezwał do siebie szefa zabezpieczenia technicznego i zażądał bieżących raportów. Jeden z nich zawierał obiecujące informacje. Na Marsie stacjonował specjalistyczny oddział wojsk inżynieryjno-budowlanych, wyposażony w niezbędne materiały i ciężki sprzęt. Żołnierze wykonywali jakieś nie mające znaczenia i mało pilne prace na rzecz cywilnego przedsiębiorstwa wydobywczego. Henk de Boer odnalazł w archiwum szczegółowy projekt „Triple Hatch” i stwierdził, że to jest to, czego potrzebuje: budowa tej bazy mikro wymagała stosunkowo niewielkich nakładów i przede wszystkim można ją było ukończyć w ciągu trzech miesięcy. A czas był w tym przypadku czynnikiem decydującym. I Henk de Boer wygrał swój prywatny wyścig z czasem. Zanim wymuszono na nim złożenie rezy-

gnacji, żołnierze zbudowali i wyposażyli tę bazę, a prace uzupełniające nadzorował osobiście

Patrzył teraz na zewnątrz przez pancerną szybę bulaja. Było marsjańskie popołudnie, słoneczne i bezwietrzne, chociaż tu i ówdzie unosiły się z widm kłaczki rudawego pyłu.

Cztery minuty.

Tam, przed linią horyzontu, spoczywają w betonowych leżach pod warstwą gruntu trzy pociski raketowe o łącznej sile wybuchu wynoszącej 750 kiloton. Trzy pociski raketowe, które odpalić mogłoby nawet dziecko. Jeden ruch palca i zadygoczą fundamenty bazy, a potem za kilka chwil zmieni się wygląd jego marsjańskiego krajobrazu. Gejzery piachu buchną w górę odrzucone korpusami startujących rakiet, drgające światło zaleje okolice, loskot pracujących silników odrzutowych przesyje atmosferę i będzie trwał jeszcze wtedy, gdy pył już opadnie, a dym rozplynie się w powietrzu...

Generał Henk de Boer mógł sobie wyobrazić tę scenę. Znów wytarł spocone ręce.

Dwie minuty.

Bez pośpiechu wrócił do pulpitu. „Triple Hatch” – trzy pociski raketowe z głowicami nuklearnymi po 250 kiloton każda, ale Koopmans otrzyma w darze tylko jeden, który trafi w drugi koniec kraju, bo przecież nie chodzi o to, żeby ten biedny idiota od razu wyzionął ducha. Pozostałe dwa, nowo mianowany marszałku, uderzą w twoich sąsiadów. To niemożliwe, żebyście nie potracili głów. Ale nim zaczniecie wzajemnie wysyłać się do diabła, nim ciebie, Koopmans, twoi sąsiedzi wyślą do diabła, może zdążysz się zastanowić, czy rzeczywiście warto „ograniczać wydatki na zbrojenia do pięciu procent budżetu”.

Minuta.

Henk de Boer zbliżył zegarek do oczu i zaczął obliczać upływające sekundy. Po pięćdziesiątej położył drżący palec na guziku.

– ...dziewięć... osiem...

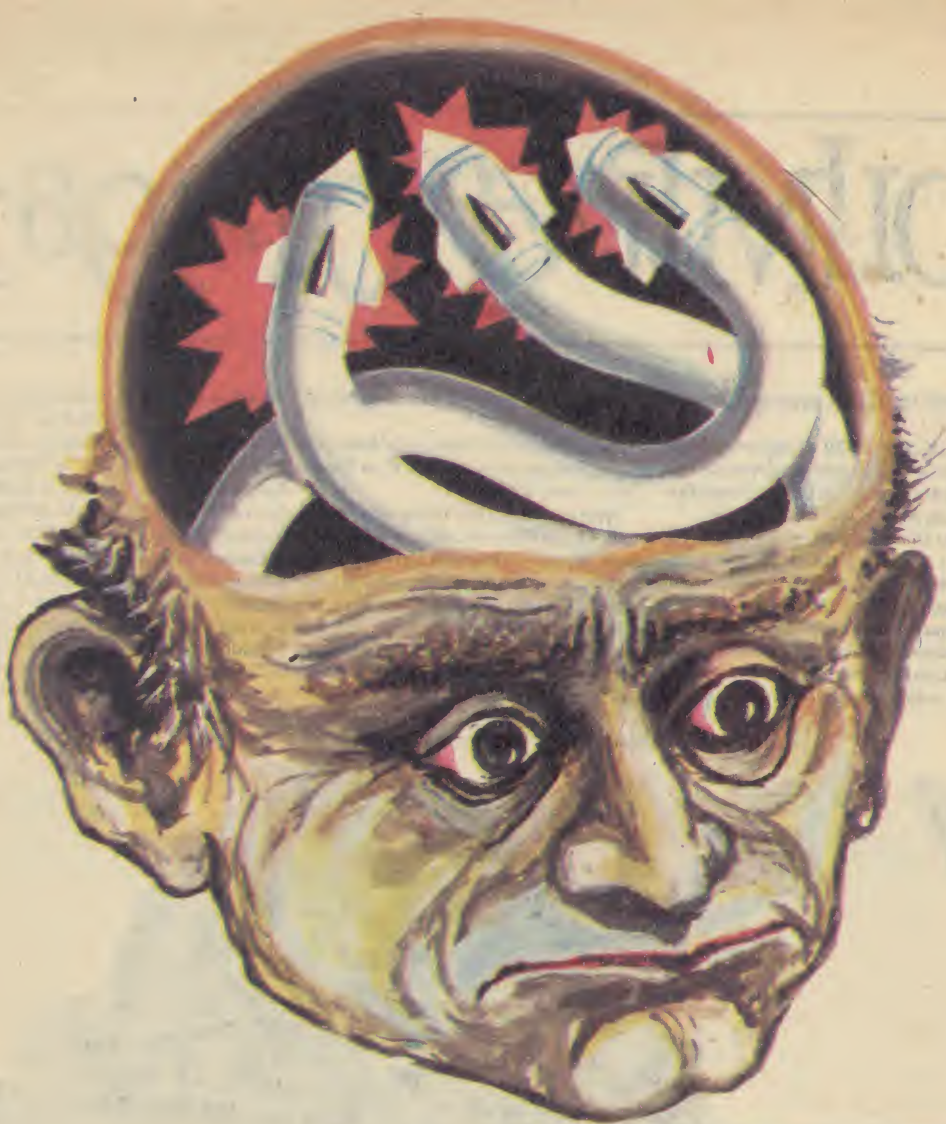
Do zobaczenia, ty biedny idioto.

– ...pięć... cztery...

Do zobaczenia w piekle.

– ...dwa... jeden... zero!

Dość niepewnie nacisnął guzik i pod palcem



poczuł opór. Nacisnął ponownie, aż paznokcie zachrobotały po metalu. Mechanizm ani drgnął.

– Zero!

Nakrył guzik obiema dłońmi i napał na niego całym ciężarem ciała. Bez rezultatu.

– ZERO!!!

Zrozpaczony spojrział przez ramię w stronę bulaja. Daleko za szybą, nad zboczem wydmy leniwie sphywał w dół kłębek rudego pyłu.

– Start! Start, do jasnej cholery!

W głębi bazy rozległ się tupot i do dyspozytorni wbiegła młoda kobieta w powiewającym kitlu.

– Sabotaż! – krzyknął na jej widok. – To sabotaż! Zdrada!

– Już dobrze, generale – powiedziała ta kobieta. Stała w odległości może trzech kroków od niego i wyciągnęła przed siebie rękę w uspokajającym geście. – Już dobrze.

Henk de Boer wciąż opierał się o pulpit. Patrzył, jak kobieta uruchamia przypięty do klapy kitla mikronadajnik, i usłyszał, jak mówi:

– Panie doktorze, pacjent z dziewiątki znowu ma atak.

Oszołomiony oderwał wreszcie dłonie od blatu. Spomiędzy wilgotnych palców wypadł mu srebrzysty guzik i potoczył się po podłodze.

Guzik od starego, wojskowego munduru.